

Klik

Pamiętam fragment z filmu „Konopielka”, w którym blady strach pada na rozwrzeszczany tłum: „Tylko nie zapisujcie!” – szepczą ludzie ze ściśniętym gardłem. Fakt, słowo pisane ma ogromną siłę. To kwestia nawyków kształtowanych przez tysiące lat.

Zastanawiałem się, dlaczego tak się dzieje. Jednak im bardziej wyteżałem swoje zwoje, tym dalszy byłem od rozwiązania. A to wydaje się banalne: po prostu – zapisanie kosztuje.

Ilość pracy, włożoną w wykuwanie kamiennych tablic, łatwo sobie wyobrazić. Papiрус był towarem na wagę złota, dlatego nie pisano na nim byle czego. Cennych zwojów nie zapełniano pierdołami, a już na pewno nie bazgraniną idioty, chyba że był cesarzem. Słowo pisane było zarezerwowane dla tych, którzy, po pierwsze, umieli pisać, po drugie zaś, mieli coś ważnego do powiedzenia.

W średniowieczu skryba spędzał dnie i noce na przepisywaniu księgi, a ilustracje były nierzadko dziełami sztuki. Taka księga warta była majątek. Dość powiedzieć, że gdyby w jej posiadanie wszedł chłop, byłby wraz z rodziną ustawiony na całe życie.

Wynalazek druku sporo w tej kwestii zmienił, ale książka nadal była droga. Rewolucja przemysłowa spowodowała wyraźny spadek cen, mimo to zasada pozostała ta sama: papier kosztuje, za darmo nikt nie pisze, a księgozbiór nobilituje posiadacza.

Przewrócenie tej zależności przeszło niezauważone albo inaczej – nikt się nad tym nie zastanawiał. O ile każdy wynalazek i nowa technologia wywoływały dyskusje o korzyściach i zagrożeniach z nich płynących, to dostępność słowa pisanego i jego

„darmowość” ludzie przyjęli bez refleksji. Widzę tu poważny dysonans pomiędzy bagażem kulturowym a rzeczywistością. Nadal mamy podświadomy szacunek do zapisanych zdań, które coraz częściej nie tylko nie mają wartości, ale szkodzą, śmiecą, brudzą i w przeszłości nigdy by nie przybrały postaci liter.

Ktoś powiedział, że darmowe porady na forach internetowych są warte tyle, ile kosztują. To jednak wierzchołek góry lodowej, bo równą wartość ma wiele blogów i komentarzy pod artykułami. Pomijam fakt, że nikt tych tekstów nie sprawdza, redaguje, koryguje (pod kątem gramatyki, ortografii, stylu i wreszcie sensu), bo to kosztuje. Powstają nawet serwisy, zajmujące się niczym, bo mogą. Naturalna selekcja sprowadza się obecnie do ilości kliknięć. Jeżeli popularne będzie dłubanie w nosie albo zawody w puszczeniu bąków, to proszę bardzo. Byle tylko banery migają.

Co bardziej świątli publicyści zauważają ten stan i alarmują: „Wikipedia nie jest rzetelnym źródłem wiedzy”, „Google nie zastąpi biblioteki” i podobnie w tym tonie. Te głosy docierają jednak opornie. Natrafiają na bezwładność myślenia, lenistwo i rutynę. W ten sposób rośnie nam pokolenie, wybaczone dosadność, idiotów, niezdolnych do samodzielnego myślenia i poszukiwania wiedzy.

Ktoś powie: tradycyjna edukacja jest warta mniej niż tablet. Owszem, bywa i tak, bo ideologia zaczyna znów zastępować naukę (przykład: gender), a nabywanie praktycznych umiejętności – mnożenie „paranauk” (zamiast szkół zawodowych mamy jakieś politologie, eurologie i zarządzania z marketingiem, po których „specjalista” może jedynie opowiadać kocopały w telewizji śniadaniowej. To już lepiej stworzyć kierunek studiów: „emigrant”).

Jest w tym wiele racji, ale chodzi o zasadę.

Zauważcie, że serwisy uznawane za wartościowe, kosztują. Obecnie określa się je mianem „premium”. Widzę tu jednak poważne zagrożenie, polegające na istocie Internetu: wtórności. Każda cenna (czyli opłacona w postaci honorarium za tekst, profesjonalną obróbkę i ilustracje) informacja jest kopiowana. Pół biedy, jeżeli w postaci linku, bo jakaś tam korzyść trafia do twórcy. Głównie przybiera jednak postać plagiatu. Zauważcie, że to wchodzi w krew. Nawet teksty powstające teoretycznie od początku, są w istocie plagiatami. Przeczytajcie choćby komentarze pod artykułami w serwisach informacyjnych. Czy trafi się coś nowego, odkrywczego, mądrego? Obstawiam, że w stosunku 1:10000.

Ten sposób myślenia jest zresztą promowany społecznie.

Wracając do edukacji, obecnie modne są testy. Nie trzeba myśleć, stawiać tez i ich udowadniać. Wystarczy ptaszek w kwadraciku, czyli „klik”. Można to bagatelizować mówiąc, że Internet jest śmietnikiem, bo taka jego natura. Tylko warto zauważyć, że coraz więcej ludzi w tym Internecie po prostu żyje, realizuje się i kontakt z rzeczywistością zapewnia im tylko lodówka i toaleta (tryumf biologii). Życiowe sukcesy i dramaty coraz częściej wynikają z tego, że jakiś analfabeta coś gdzieś napisał lub wstawił filmik. Czy można mieć do tego dystans? Można, ale trzeba świadomie połączyć czerwoną pigułkę.

Jak powiedział kapral z „Kajka i Kokoşa”: „Na potwierdzenie moich słów siłacz palnie pięścią w stół”.

Jakiś czas temu zadzwonił do mnie Czytelnik z prośbą o poradę: „Mam dzielony wzmacniacz McIntosha, dzielone źródło MBL-a, kupiłem diamentowe „osiemsetki” i gra to razem fatalnie. Co robić?”

No cóż, można zmieniać kabelki, zasilanie itp., ale nie oszukujmy się. To wprowadzi dyskretne korekty, ale nie zadziała jak magiczna różdżka. Było bardzo źle, będzie trochę mniej źle albo i gorzej.

Człowiek rozwija temat.

– Miałem Avanti i grało bajecznie.

– To dlaczego pan zmienił?

– Bo wszedłem na taką jedną stronę i polecali podobne zestawienie.

– No dobrze, polecali, ale czy pan posłuchał?

– Tak, posłuchałem, bo był taki filmik i świetnie grało, wszystko było...

– Zaraz, zaraz! Ja to „pan posłuchał”? Na komputerze, z filmiku na Youtube’ie?

– No tak.

– A jak pan kupował, to już nie poprosił o prezentację?

– No, nie... Bo już słuchałem.

Po pierwsze, przysięgam, to sama prawda; nic nie zmyśliłem. Po drugie, spodnie mi opadły do kostek. Człowiek „na ucho” miał około sześćdziesiątki (a więc nie pokolenie klikaczy), a wydał około 80 tysięcy na podstawie „źródła wiedzy” z Internetu, najwyraźniej nie „premium”. A na koniec „posłuchał”. I niech mi ktoś teraz powie, że ten śmietnik nikomu nie szkodzi.

Kupujcie i czytajcie dzieciom książki; te mądre. Na każdym kroku zaznaczajcie, że w googlach to można poszukać, ale nie wiedzy, tylko programu TV. Bo inaczej obudzicie się w matriksie. Chociaż, obawiam się, że już jest po śniadaniu.

Maciej Strycki